

G.K. CHESTERTON

KRÓTKA HISTORIA ANGLII



FRONDA
APOS|OLICUM

Krótką historia Anglii

Gilbert Keith Chesterton

**Krótką historia
Anglii**

WARSZAWA - ZĄBKI

2009

Tytuł oryginału
A SHORT HISTORY OF ENGLAND

Tłumaczenie
Adam Doboszyński

Copyright © 2009 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Redakcja i korekta
Dorota Matejczyk

Projekt okładki
EMPESTUDIO
www.empestudio.com

Grafika na okładce
**Robert Gibb „CIENKA CZERWONA LINIA”, 1881. Obraz przedstawia 93 regiment
Górali Sutherlandzkich w bitwie z kawalerią rosyjską pod Bałakławą w roku 1854.**

Pobrano 19 grudnia 2008, g. 13.35, z Domeny Publicznej:
http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/thumb/c/c1/The_Thin_Red_Line.jpeg/266px-The_Thin_Red_Line.jpeg

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer
www.pandawer.pl

ISBN 978-83-88747-22-9 (FRONDA)
ISBN 978-83-7031-658-7 (Apostolicum)

Wydawcy

Stowarzyszenie Kulturalne FRONDA
ul. Marszałkowska 55/73, lok. 168
koresp. ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
faks (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwo.fronda.pl

APOSTOLICUM
ul. Wilcza 8
05-091 Ząbki
tel. (0-22) 771-52-00
faks (0-22) 771-52-07
infolinia: 0801-011-420
e-mail: info@apostolicum.pl
www.apostolicum.pl

Druk
Drukarnia APOSTOLICUM
tel. (0-22) 771 52 00
Wydanie II
(Wydanie I: „Veritas”, Londyn 1953)

PRZEDMOWA AUTORA DO DRUGIEGO WYDANIA BRYTYJSKIEGO

Gdy parę lat temu zwrócono się do mnie z prośbą o napisanie książeczki zatytułowanej obecnie „Krótką historią Anglii”, zdawałem sobie dobrze sprawę, że przyjmując to wyzwanie, popelniam pewnego rodzaju bezczelność, choć po prawdzie sam tytuł książki jest bezczelniejszy niż jej treść. Gdyby to zależało ode mnie, nazwałbym ją „Szkiecem dziejów Anglii”, czy też „Esejem na temat dziejów Anglii”; nie sądziłem jednak, by warto było się spierać czy to o tytuł książki, czy o nią samą, jej założenie, tak jak ja je rozumiałem, nie wymagało bowiem popisywania się uczonością, luki w dziejach Anglii nie dotyczą bowiem rzeczy małych, znanych jedynie uczonym, lecz raczej rzeczy wielkich, które uczeni z reguły pomijają. Wielu z tych rzeczy można się dowiedzieć nie tylko bez cudów erudycji, ale nie otwierając nawet w ogóle książki. Można się o nich dowiedzieć patrząc na rzeczy wielkie i bijące w oczy, takie jak ogrom kościołów gotyckich czy styl klasycznych dworów wiejskich. Nie trzeba długich i trudnych badań dla dowiedzenia się, że ziemianin

nie jest opatem, choć dom jego nosi miano opactwa. Nie trzeba zawiłych rozumowań dla wywnioskowania, że teren zwany „gromadzkim” należał niegdyś do gromady. Różnice w poglądach nie tyczą więc samych faktów, lecz znaczenia tych faktów, a ocena tego znaczenia wiąże się z krytyczną oceną całego rozumienia dziejów.

W przedmowie do pierwszego wydania podkreśliłem mój brak szczegółowej wiedzy historycznej, toteż nie należy się dziwić, jeśli przedstawiłem błędnie jakieś szczegóły historii. Rzecz jednak ciekawa, że większość błędów, jakie wykryłem w tekście pierwszego wydania, nie tyczy rzeczy mi nieznanych, lecz tych, które są mi znane. Na temat takich błędów można napisać ciekawą rozprawę psychologiczną. Są to błędy, które popełnia się bezwiednie. Odkryłem na przykład, że mówiłem o królu Janie jako o drugim synu Henryka Andegaweńskiego. Otóż nie jest możliwe, by ktoś, kto kiedykolwiek czytał książki dla dzieci z ich anegdotami o królach, nie wiedział doskonale, że Henryk II miał, że tak powiem, nadmiar synów i że Jan był z nich najmłodszy. Któż nie słyszał o rozgoryczeniu ojca z powodu ucieczki tego beniaminka?

Z kontekstu wynika, że nie wymieniałem synów, lecz królów i że miałem na myśli, iż Jan był drugim z rzędu synem, który wstąpił na tron. Trafiają się w mej książce inne jeszcze błędy podobnego rodzaju, równie łatwe do popełnienia jak do poprawienia. Na stronie 129 „wdowa po Henryku V” powinna być oczywiście wdową po Henryku VI, czy też raczej „żoną

Henryka VI”, gdyż wbrew przekonaniu p. Wellera (pocztynion z „Klubu Pickwicka” – przyp. tłum.) nie była ona herod-babą, choć była wdową. Tkwiła mi ona jednak w pamięci jako wdowa, lub przynajmniej jako samotna kobieta w żałobie, z dzieckiem na ręku, ponieważ w pamięci mojej odżyła w danej chwili stara opowieść o jej samotnych przejściach z małym książątkiem. Do anegdoty o benedyktynach zakradł się błąd druku: oczywiście powinno być „franciscere” lub „franciscet”, jeśli w ogóle warto odmieniać czasownik nieistniejący, włożony w usta człowieka przemawiającego łaciną kuchenną. Znajdzie się zapewne jeszcze mnóstwo innych błędów, niebędących błędami druku. Zwrócono mi uwagę, że pewne powiedzenie o słońcu przypisałem Tomaszowi More, podczas gdy w rzeczywistości wyszło ono z ust jednego z jego towarzyszy, z tej samej plejady męczenników. Jest to możliwe, gdyż wszystkie te opowieści czytałem w tym samym zbiorze anegdot o męczennikach. Oto są szczegóły, które być może uszły mej uwagi; najmocniej za nie przepraszam. Jest ich jednak mniej, niż się obawiałem.

Powtarzam, że przepraszam za wszystkie tego rodzaju szczegóły, nie mam bowiem za co przeproszać, jeśli chodzi o tezę ogólną czy też konstrukcję książki. Wszystko, czego nauczyłem się od czasu jej napisania, a w szczególności to, czego nauczyłem się od uczonych – utwierdziło mnie w przekonaniu, że miałem znacznie więcej słuszności, niż przypuszczałem. Takie amatorskie pisanie dziejów przypomina trochę

rozwiązywanie zagadek. Odczuwam po latach spóźniony dreszcz szczęścia na myśl, że tak często odgadywałem trafnie. Mógłbym dziś dostarczyć znacznie więcej dowodów, niż ich miałem wówczas, na zasadnicze linie mego rozumowania: że w średniowiecznej Anglii narodziło się wiele ideałów demokratycznych; że miała ona możliwość zbliżania się – i że nawet faktycznie się zbliżała – do demokratycznego postępu; że pokonała ją oligarchia, która nabrała nadmiernej siły pod zbyt kapryśną władzą królów; że w wiekach XVI i XVII zatrumfowała oligarchia, rugując ostatnie ludowe elementy ze szkół, cechów, prawa i posiadania ziemi; wreszcie, że arystokracja przemienia się obecnie w plutokrację, nie uchylwszy przed ludem nawet rąbka tej ludowej wizji, bez której lud żyć nie może. Nie tylko utwierdziłem się w przekonaniu o słuszności takiego ujęcia rzeczy, ale doczekałem się nawet tego, że świat jest coraz to bardziej skłonny do zastanawiania się nad takim ujęciem. Na przykład w czasie, gdy pisałem tę książeczkę, cały ten świat, który uważał pana Bernarda Shawa za naczelnego modernistę, uważał mnie za marzycielskiego zbieracza starożytności, bo byłem miłośnikiem średniowiecza. Ja jednak chwaliłem jedynie najlepsze strony tej epoki, a w szczególności jej zaranie, przyznając przy tym zdecydowanie, że w ostatnich chwilach zmierzchu średniowiecza roiło się od potworów. Wskazywałem zwłaszcza na zwyrodniałą gorliwość księży, którzy prześladowali św. Joannę. Tymczasem doczekałem się tego, że modernista Bernard Shaw dostarczył dowodów

na korzyść mediewisty Chestertona. Doczekałem się tego, że nie kto inny, ale właśnie on dowiódł, że istnieją argumenty nawet na korzyść potworów średniowiecza. O ile ja broniłem wzlotów średniowiecza, on broni nawet jego upadku – i broni triumfalnie, oparł się bowiem w swej obronie na fundamencie zasad. Mam na myśli pewien fakt, który powinien uprzytomnić sobie każdy, kto chce wziąć udział w dyskusji nad tą sprawą: fakt, że wizja chrześcijaństwa była czymś znacznie u ludzi średniowiecza potężniejszym niż nasze cesarstwa, narody czy przedsiębiorstwa. I że podczas gdy najlepsi z nas potrafią tylko polec chwalebnie za ojczyznę, ludzie średniowiecza nawet swe zbrodnie zdolni byli popełniać za Krzyż.

W miarę jak upewniamy się coraz gruntowniej, gdzie leży prawda, opuszcza nas pokusa formułowania jej w sposób ja-skrawy i wyzywający. Obiektywny opis okresu przejściowego między średniowieczem a czasami nowszymi wyglądałby, moim zdaniem, mniej więcej tak. W okresie tym świat uległ poprawie pod wieloma względami, lecz nie pod tym jednym koniecznym względem, który mógłby pogodzić wszystkie inne. Świat nie stał się bardziej uniwersalny – przeciwnie, stał się znacznie mniej uniwersalny, gdyż pozbierał tylko i wypolerował szczytki pogruchotanego wszechświata. Mówiąc innymi słowami, było to ulepszenie tego samego rodzaju, co rozwój specjalizacji w medycynie lub zawodowstwa w piłkarstwie. Człowiek średniowiecza był rzeczywiście

pod wieloma względami mniej okrzesany i sprawny, jednakże jego pogląd na życie był szerszy i bardziej ludzki. Tak więc odrodzenie nauki nie było jej upowszechnieniem, gdyż szkoły publiczne przestały być szkołami ludowymi. Więcej szlachty uczyło się greki, lecz mniej chłopów uczyło się łaciny. Reformacja zwiększyła „napięcie” religii, przekształcając ją w sekciarstwo, przestało być możliwe godzenie ludzi przy pomocy religii. W dziedzinie np. dramatu zaczęto wystawiać utwory większe, mniej jednak osób brało udział w ich wystawianiu. Pojawił się Szekspir, natrzęsający się z prostaków wystawiających sztuki. Wiele przemawiało jednak za dawnym teatrem cechowym, w którym każdy prostak mógł wystawić sztukę. Literatura dojrzała, ponieważ dojrzał język, zacieśniła się ona jednak do języków narodowych – prawdziwie europejskie esperanto zanikło. Ludzie utracili ideę ludzkości jako całości. Jak się to odbiło na dziejach Anglii, łatwo stwierdzić na przykładzie wziętym z angielskiej literatury. Jednym z największych i najbardziej ludzkich geniuszy nie bardzo ludzkiego XVII wieku był John Bunyan. Jego twórczość uchodzi słusznie za arcywzór dojrzałej angielszczyzny. Porównajmy jednak atmosferę moralną twórczości alegorysty, który napisał „Pilgrim’s Progress”, z atmosferą twórczości alegorysty, który napisał „Piers the Plowman”. Oba te utwory stanowiły symboliczne obrazy życia ludzkiego w świetle religii. Nikt nie zaprzeczy, że arcydzieło purytańskie jest dziełem sztuki pełniejszym i bardziej zwartym,

gdyż język i literatura nabrały w tym czasie większej dojrzałości i zwartości. Jeśli chodzi jednak o szerokość poglądów, o stosunek do ludzi, o spojrzenie na moźnych tego świata, na każdą warstwę społeczną, każde zagadnienie, każdy ideał polityczny, to Bunyan pełza w dole, podczas gdy Langland stoi na górze. Stało się bardzo słuszenie, że pomnik Bunyana w Bedfordzie „stoi twarzą do miejsca, w którym go więziono”. Nie ma natomiast pomnika na wzgórzach Malvern, na których wielki trybun średniowiecza ujrzał swoją wizję sprawiedliwości dla całego świata: społeczność prostego ludu, uosobioną w jednej olbrzymiej postaci przedzierającej się przez chmury i przeciwności, by wreszcie w ostatniej fazie misterium ukazać nam straszliwe oblicze Chrystusa.

G. K. Chesterton

I

WPROWADZENIE

Bardzo słuszne byłoby pytanie, dlaczego to właśnie ja mogłem się zdecydować – choć w pewnej mierze sprowokowany – na napisanie rozprawy na temat historii Anglii, choćby nawet popularnej rozprawy. Jestem przecież zwykłym członkiem szerokiego ogółu i nie zdradzam żadnych pretensji do jakiejś szczególnej uczoności. Odpowiadam krótko: wiedza moja wystarczy akurat na to, by wiedzieć jedną rzecz, że nikt nie napisał jak dotąd historii ujętej z punktu widzenia członka szerokiego ogółu. To, co zwiemy historią popularną, powinno się raczej zwać historią antypopularną. Wszystkie bowiem podręczniki historii, prawie bez wyjątku, są albo wrogo nastawione do mas, albo je ignorują, lub też w sposób kunsztowny dowodzą, że wina leży po stronie mas. Wprawdzie Green zatytułował swą książkę „Krótkimi dziejami angielskiego ludu”, uważał ją jednak za zbyt krótką, by wspomnieć w niej należycie o ludzie. Nazwał on np. pewien bardzo obszerny rozdział swych dziejów „Anglią purytańską”. Anglia nie była jednak

nigdy purytańska. Niemal równie niesłusznie można by nazwać „purytańską Francją” kraj, nad którym objął władzę Henryk z Nawarry.

Szczególnie jednak przy opisach średniowiecza popularne dzieje depreczą popularne tradycje. Pod tym względem zachodzi komiczna niemal sprzeczność między mnóstwem wiadomości o dziejach Anglii w ostatnich dwu lub trzech wiekach – w ciągu których montowano jej obecny ustrój przemysłowy – a ubóstwem wiadomości o wiekach poprzednich, z grubsza zwanych średnimi. Mały przykład pozwoli zobrazować ten rodzaj historii z gabinetu figur woskowych, która ma niby wystarczyć dla oświetlenia epoki opatów i krzyżowców. Parę lat temu ukazała się popularna encyklopedia, pretendująca m.in. do uczenia mas, jak wyglądały dzieje Anglii. W encyklopedii tej trafiłem na poczet podobizn królów angielskich. Oczywiście, nikt nie może wymagać, by wszystkie podobizny były autentyczne, ale zainteresowanie skupia się z natury rzeczy głównie na tych, które są płodami wyobraźni. Choć w literaturze owych czasów spotyka się dużo materiałów pomocnych do sportretowania postaci takich jak Henryk II czy Edward I, wydaje się, że autorzy encyklopedii nie tylko tego materiału nie znaleźli, ale go też nawet nie szukali. Patrząc bowiem na wizerunek mający wyobrażać Stefana z Blois, oko moje wzdrygnęło się na widok dżentelmena w jednym z tych hełmów o obrzeżu stalowym, wygiętym w kształt półksiężyca,

które noszono w epoce nakrochmalonych białych kołnierzy oraz skórzanych kamaszy. Skłonny jestem podejrzewać, że była to głowa halabardnika z takiej sceny jak np. stracenie Marii Stuart. Grunt, że głowa ta była przecież w hełmie, a hełmy były atrybutem średniowiecza – Stefanowi wystarcza więc jakikolwiek stary hełm.

Przypuśćmy jednak na chwilę, że czytelnicy tej encyklopedii szukaliby portretu Karola I, a znaleźliby głowę policjanta. Przypuśćmy dalej, że wzięto by ją wraz z nowoczesnym hełmem z jakiejś fotografii w „Daily Sketchu” przedstawiającej aresztowanie sufrażystki. Wolno mi chyba zaryzykować twierdzenie, że czytelnicy odmówiliby uznania tej głowy za podobiznę Karola I. Doszliby do przekonania, że musiała zająć jakaś omyłka. A jednak okres czasu, który upłynął między Stefanem a Marią, był znacznie dłuższy niż okres między Karolem a nami. Przewrót w stosunkach społecznych między pierwszą wyprawą krzyżową a panowaniem ostatniej z rodu Tudorów był bez porównania głębszy i pełniejszy niż jakiegokolwiek przewroty między czasami Karola a naszymi.

A przecież ów przewrót powinien stanowić centralny wątek w każdej pracy, która zwie się historią popularną. Jest to bowiem opowieść o tym, jak nasz lud uzyskał ważne prawa, które dziś utracił bez reszty.

Otóż twierdzę skromnie, że wiem o dziejach Anglii więcej niż to jedno i że mam tyleż samo prawa do popularnego

streszczenia tych dziejów, co dżentelmen, który zamienił kapelusze krzyżowca i halabardnika. Dziwaczne oraz zastanawiające zaniedbanie – czy też nawet pomijanie średniowiecznej cywilizacji w tego rodzaju dziełach zasada się na fakcie, o którym już wspominałem. Stało się tak, że nie gdzie indziej, ale właśnie w historii popularnej zabrakło miejsca na popularną historię. Na przykład, ucząc robotnika, cieślę, bednarza czy murarza o Wielkiej Karcie, mówi się o niej jako o zjawisku zupełnie odosobnionym, przy czym upiorną nieledwie jej samotność tłumaczy się faktem, że wyprzedziła ona swój czas. Nie uczy się jednak robotnika, że całe średniowiecze zapchane było pergaminowymi kartami. Cieśla słyszy o jednej tylko karcie, danej baronom, i to głównie w interesie baronów. Nie słyszy natomiast o żadnej z kart nadanych cieślom, bednarzom, czy też w ogóle ludziom tego samego autoramentu, co on sam.

By zaś sięgnąć po inny przykład – chłopiec i dziewczyna, czytający fabrycznie robione, uproszczone podręczniki dziejów, używane w szkołach, nie słyszą faktycznie nigdy o kimś takim jak mieszczanin, póki nie pojawi im się on w koszuli z pętlą na szyi. Na pewno nie mają oni najśłabszego nawet wyobrażenia o znaczeniu mieszczan w średniowieczu. Wiktoriańscy kupcykowie nie wyobrażali sobie, że mogliby wziąć udział w jakiejś takiej romantycznej awanturze jak bitwa pod Courtrai, gdzie to średniowieczni kupcykowie zdobyli więcej niż ostrogi – gdyż zdobyli ostrogi wrogów.

Choć wiem niewiele, mogę jednak opowiedzieć coś niecoś na temat owej prawdziwej baśni. Oto w czasie mych wędrówek spotkałem człowieka, wychowanego w oficynach wielkiego domu, karmionego odpadkami ze stołu i obciążonego najcięższą pracą. Wiem, jak to ucisza się jego żale, jak to jego położenie próbuje się uzasadnić historyjką, jakoby jego dziad był szympansem, a jego ojciec leśnym dzikusiem, ujętym przez łowców i obłąskawionym w coś w rodzaju inteligenta. W świetle tej historyjki może on być wdzięczny za to, że cieszy się życiem prawie ludzkim. Może się również krzepić nadzieją, że zwierzę, które zostawi po sobie, będzie jeszcze bardziej wykształcone. Może się to niejednemu z czytelników wydaje dziwne, ale tytułowanie tej historyjki świętym mianem Postępu przestało mnie zadowalać, odkąd zacząłem podejrzewać i znajdować dowody, że nie jest ona prawdziwa. Dziś wiem już przynajmniej tyle o pochodzeniu tego człowieka, by wiedzieć, że nie wykształcono go, lecz po prostu wydiedziczono. Jego drzewo genealogiczne jest drzewem małpim chyba tylko w tym rozumieniu, że żadna małpa nie potrafiła się na nie wdrapać.